



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jerzy Długokęcki

Luki w pamięci

Urodziłem się w Warszawie, ojciec mój był Legionistą. W 1917 roku jako 17-letni ochotnik, wstąpił do Legionów. W 1920 roku w czasie wojny z bolszewikami został ranny (kontuzja oka i lewej ręki), stał się inwalidą wojennym i przeszedł na rentę. Pracował dodatkowo u Block-Bruna, był członkiem PPS. Matka moja, Sabina Długokęcka z domu Nałęcz, do wybuchu wojny nie pracowała. Ojciec w czasie okupacji ukrywał się (był w jakiejś organizacji – jakiej nie wiem). Matka podjęła w 1940 roku pracę w Hucie na ul. Radzymińskiej w Warszawie. Jednocześnie handlowała pieczywem (jej brat był piekarzem i miał piekarnię na Targówku). Później handlowała również podrobami (cioteczny brat matki, Mietek Pruszkowski, był garmazerem i nauczył ją robić kaszanki i salcesony). Moja babcia Anna Nałęcz, jak i moja matka, urodziły się w Warszawie. Do początku 1944 roku, to znaczy do śmierci ojca i naszej ucieczki z domu – mieszkaliśmy na Targówku przy ul. Radzymińskiej. Uciekliśmy w 1944 roku na ul. Grzybowską 76 w Warszawie do rodziny Pruszkowskich. Zamieszkaliśmy u nich – matka, mój starszy brat Stefan i ja.

Brat na skutek ran odniesionych w powstaniu zmarł po wojnie w wieku 27 lat (gruźlica kości wskutek rany postrzałowej i pobicia przy wyjściu z kanału).

Wybuchu wojny nie pamiętam. Pierwsze co zapamiętałem, to mój pobyt na wsi u jakiejś rodziny. Wieś nazywała się Kosaki Nabelne koło miasteczka Rutki (jest to chyba na Białostocczyźnie). Z tego okresu pamiętam kilka zdarzeń. Pierwsze, to jak dziś widzę żandarma, który przyproceedził na łańcuchu rannego, zakrwawionego człowieka i rzucił go na ziemię. Jakaś kobieta z tej rodziny, u której byłem, obmywała tego rannego. Mam w oczach w tej chwili miednicę pełną zakrwawionej wody i zadowolony pysk żandarma, który w tym czasie coś żarł. Później przyjechała po nich furmanka i żandarm z rannym gdzieś odjechał. Przypominam sobie również bicie świni, bo po pierwsze spodziewałem się lepszego jedzenia, a z tym nie było najlepiej, po drugie miałem w nocy czatować na początku wsi, czy nikt nie jedzie (policja i żandarmi jeździli rowerami, rzadko motocyklami), świnią była nie wolno było bić. Wszystko było kolczykowane. To kolczykowanie też pamiętam, ponieważ często z innymi dzieciakami chowaliśmy świnię w lesie przed kolczykowaniem. Podczas kolczykowania wszyscy musieli być w domu, ale ci, co kolczykowali nie zawsze wiedzieli, ile dzieciaków jest w rodzinie. Pamiętam też nocę kiedy pomagałem w pędzeniu bimbru. Moja rola polegała na tym, że trzymałem kubek pod urządzeniem, z którego bimber kapał, a z kubka wylewałem do większego naczynia. Utkwiło mi w pamięci to, że z utęsknieniem czekałem na niedzielę. Gospodarze jechali wtedy do kościoła do Rutek, czasami zabierali mnie ze sobą, czasami nie, ale zawsze w niedzielę dostawałem białą bułkę a niekiedy obwarzanki, to był rarytas.

Ojca swojego pamiętam tylko z jednego zdarzenia. Jechaliśmy pociągiem, chyba z tych Rutek do Warszawy. Siedziałem u ojca na kolanach, współpasażerowie nasi jedli, pili i grali w karty.

Więcej go nie pamiętam, chociaż na pewno spotykałem się z nim i później. Do czasu ucieczki z Targówka na ul. Grzybowską pamiętam niektóre zdarzenia, na przykład: gramy w bramie z chłopakami w piłkę, pamiętam, że grał również Bogdan Mac, chłopak z mojego piętra, mieszka teraz na Bródnie. Piłka wyleciała na ulicę i złapał ją idący chodnikiem jakiś człowiek w mundurze, który szedł z kobietą prowadzącą wózek z dzieckiem. Kiedy poprosiłem tego człowieka, by mi tę piłkę oddał, dostałem kopa tak, że wpadłem do rowu (jeszcze po wojnie był ten rów, płynęły nim różne nieczystości), no i tak straciłem piłkę (a była to skóra, jakiej nikt na Targówku nie miał), bo ją ten szkop zabrał.

Zdarzenie to pamiętam jeszcze dlatego, bo dostałem od matki lanie. Za co? Matka poprzedniego dnia kupiła mi jasne trzewiki z blaszkami w obcasie, do jazdy na łyżwach. Gdy wpadłem do tego rowu, to strasznie je zabrudziłem i przemoczyłem. Matka jak to zobaczyła, to nim się wytłumaczyłem od razu mi wiała, myślała, że w nowych butach uprawiałem sport, polegający na tym, że w tym rowie od boku do boku skakaliśmy i który dalej przeskoczył i me wpadł do rowu, ten wygrywał.

Wujek Pruszkowski nauczył matkę robienia kiszki i salcesonów. Razem z Nałęczowa handlowali chlebem, bułkami, salcesonem i kiszka. Mają „gospody”, ale często też handlują na ulicy. Nieraz towar roznosiłem ja, jeżeli gospoda była gdzieś blisko. Czasem podkradałem towar matce i wynosiłem chłopakom na podwórko, bo była bieda. Matka chyba się orientowała w tych drobnych kradzieżach, ale udawała, że nic nie wie. Za naszym domem były tory kolejowe (zresztą są dotychczas) w kierunku Białegostoku, była również bocznica kolejowa do olejarni (obecnie Zakłady Tłuszczowe na ul. Radzymińskiej). Starszy brat Stefan wraz z kolegami chodził na tak zwaną „kitę”. Kradli węgiel, z opałem nie było kłopotów, nieraz przytargali tego tyle, że tym węglem handlowali. Węgiel ten magazynowali w piwnicach naszego domu oraz w komórkach na podwórku, a jak było go bardzo dużo, to pod gołębnikiem, którego właścicielem był pan „Kopelek” Szwejkowski, jeździł rykszą.

My dzieciaki czasami podkradaliśmy im ten węgiel i sprzedawaliśmy, przede wszystkim sklepikarzom (Smardzewski, Gieleta, Stawikowska). Przestali chodzić na „kitę”, kiedy banszuce zastrzelili chłopaka z Zacisza, a Jankowi Gale z ul. Rajgrockiej przestrelili rękę, którą trzeba było amputować. Przerzucili się na kradzież oleju z cystern, które stały na bocznicach w olejarni. W każdym mieszkaniu w naszym domu oleju było dosyć. Starsi chłopcy, handlowali również tym olejem.

W czasie nalotów (był to okres, kiedy Niemcy napadli na Rosję) siedzieliśmy w piwnicy u Gielety który miał największą i najlepszą piwnicę (był rzeźnikiem).

Chcę zaznaczyć, że nastąpiła jakaś luka w mojej pamięci. To co piszę znam z opowiadań pana Kinusa, a później z opowiadań sąsiadki, która wprowadziła się po panu Kinusie (może jej to opowiadał).

Otóż na początku 1944 roku przyszedł do domu mój ojciec z jakimś mężczyzną. Ja byłem sam w domu i byłem w kuchni, ojciec z kolegą byli w pokoju. Pod dom zajechała ciężarówka pełna żandarmów, otoczyli dom, kilku wpadło do korytarza, z którego wchodziło się do naszej kuchni. Kolega ojca wyskoczył z trzeciego piętra, podobno spadając odbezpieczył granat i zginął na miejscu raniąc czy też zabijając kilku Niemców. Niemcy wpadli do kuchni i zaczęli strzelać do ojca, który był w pokoju. Ojciec nie strzelał, bo bał się, że postrzeli mnie. Ciężko rannego ojca zabrali i odjechali.

Podobno wywieźli go do Józefowa pod Warszawą, ktoś mówił o tym matce, ale niestety słuch o nim zaginął i do dzisiaj nie wiem, co się z nim stało. Matka po wojnie zrobiła symboliczny grób na cmentarzu Bródnowskim, po 1955 roku szukałem go i nie mogłem odnaleźć. Były różne przypuszczenia, kto ich wydał. Podejrzewana była właścicielka knajpy, która była w naszym domu i której mąż był „granatowym”. Po wyzwoleniu, kiedy z Domu Dziecka przyjechałem do Warszawy, dowiedziałem się, że tego granatowego zastrzelili Ruscy z NKWD, a jego żonę, tę co prowadziła knajpę, znaleziono po wojnie martwą na Bazarze Różyckiego na śmietniku koło WC.

Kiedy Niemcy zabierając ojca odjechali, podobno sąsiedzi pomogli mi zabrać najpotrzebniejsze rzeczy z domu i uciekać. Schowałem się w jednej z bram na ul. Rajgrodzkiej. Sąsiedzi czatowali na matkę i brata, i kiedy ci przyszli, powiedzieli, co się stało i gdzie ja jestem. Matka z bratem wpadli jeszcze na chwilę do mieszkania, zabrali resztę najpotrzebniejszych rzeczy i przyszli do bramy, w której byłem. Po pewnym czasie przyjechała pod tę bramę dorożka (na I piętrze mieszkał dorożkarz, bodajże nazywał się Kraszewski, i to on właśnie podjechał). Załadowaliśmy się i pojechaliśmy na ul. Grzybowską 76 do Pruszkowskich. Zresztą dobrze zrobiliśmy, bo po paru godzinach przyjechali Niemcy, pewno po to by nas zabrać.

Matka wraz z wujkiem Mietkiem handlowała na Kercelaku. Pamiętam, że od czasu do czasu na ul. Grzybowskiej w mieszkaniu Pruszkowskich zbierało się sporo ludzi. Jak się później dowiedziałem, był to lokal konspiracyjny, był tam również punkt zbiorczy prasy podziemnej, roznosiliśmy ją w różne miejsca.

Często z wujkiem i matką przebywałem na Kercelaku, gdzie oni handlowali (skóra i mydło). Wujek coś kupował, pakował w niewielkie paczki (ale było to ciężkie) i kazał mi te paczki odnosić na Żurawią 24. Po wojnie dowiedziałem się, że była to broń i amunicja a nawet granaty.

O bracie nic nie piszę, bo gdzieś się zapodział i odnalazł się dopiero w dniu Powstania, a później w dniu kapitulacji i wymarszu na Pruszków.

Przed wybuchem Powstania w mieszkaniu na Grzybowskiej i piwnicy gromadzona była żywność (suchy chleb w papierowych workach, suchary, marmolada, cukier i sacharyna). Pamiętam, że przed samym Powstaniem prawie wszystko dorożkami i platformą węglarzy wywieźliśmy na Powiśle, bodajże na Rozbrat. Pamiętam również, że wraz z jakąś kobietą tuż przed samym Powstaniem kursowałem parę razy z jakimś paczkami z ul. Żurawiej na ul. Sosnową. Pewnego dnia wujek przyniósł do domu bardzo dużo wędlin i mięsa, wydzielił pewną część, zapakował i kazał matce i mnie wyjechać z Warszawy. To samo powiedział do swojej żony i matki. Ani ciotka, ani moja matka nie zgodziły się na to. Zjedliśmy bardzo dobry obiad, tego dnia ani wujek, ani matka nie poszli do handlu. Po obiedzie bardzo serdecznie się z nami pożegnał i poszedł. Spotkałem go dopiero w 1952 roku, kiedy z Domu Dziecka przyjechałem do Warszawy. Opowiedział mi wszystko o sobie. Był w konspiracji od 1942 roku. W dniu kiedy się z nami pożegnał, wybuchło Powstanie. Miał pseudonim „Grubasek”. Musiał się zgłosić w zgrupowaniu kapitana „Kryski” w kompanii por. „Goraja” w 122 plutonie sierż. „Czecha”. Gromadzeniem żywności przed powstaniem zajmował się na polecenie kwatermistrza por. „Sobiesława”. W Powstaniu walczył na Powiślu. Po kapitulacji powstania dostał się do niewoli i przebywał w Stalagu XB.

Powstanie

Po wyjściu wujka wszyscy zostaliśmy w domu. Ciotka cały czas płakała. Po południu usłyszeliśmy strzały, które po pewnym czasie ucichły. Następnego dnia, jak zwykle po śniadaniu, urwałem się do chłopaków na ulicę. Gdy zszedłem do bramy, zauważyłem, że w bramie stoi kilkunastu ludzi w hełmach, panterkach i z bronią.

Myślałem, że to Niemcy, chciałem wiać. Oni się roześmiali i poznałem niektóre znajome twarze. Mieli na rękę białe-czerwone opaski. W bramie było kilku moich kolegów. Chcieliśmy wylecieć na ulicę, ale dowódca powstańców nam zabronił. W pewnym momencie usłyszeliśmy strzały. Powstańcy wybiegli na ulicę, my za nimi. Ja z którymś z kolegów, chyba ze Zbyszkiem „Kotem”, schowaliśmy się za dużą beczką z wodą, która stała przed bramą. Cały czas padały pojedyncze strzały. Rozglądając się zza beczki, zauważyłem, że z dachu stojącego naprzeciw budynku ukazuje się jakiś błysk, a potem strzał. Wskoczyliśmy zza beczki, wbiegliśmy do bramy, gdzie byli powstańcy, powiedziałem im o tym, co zauważyłem. Pięciu biegiem wypadło z bramy. Po jakichś 20 minutach zameldowali dowódcy, że ściągnęli „gołębiarza”, leży na ulicy. Na ulicy leżał zestrzelony z dachu Niemiec. Wzięli jego broń (miał „durszlak”), karabinek snajperski i granaty „jajka”. Zaraz go pochowali pod ścianą budynku, z którego strzelał. Prosił dowódcę, żeby dał nam chociaż po jednym granacie, ale nam nie dał, przepędził do mieszkań, zabraniając nam wychodzić.

Na drugi dzień, jak zwykle polecałem na podwórko. Powstańców już nie było. Po paru godzinach wpadł na podwórko cywil z bronią i przegnał nas wszystkich do piwnicy. Do piwnicy zaczęli się schodzić ludzie, w tym ciotka, matka ciotki i moja matka. Zebrało się bardzo dużo ludzi. Siedzieliśmy tak ze dwa dni, bo cały czas było bombardowanie. Ludzie palili świeczki, modlili się. Było bardzo duszno. Cały czas słyszeliśmy detonacje („szafy” i „bomby”). Ludzie w piwnicy jakoś się zagospodarowali. W pewnym momencie zabrakło wody. Tego dnia dwóch dorosłych poszło po wodę (chyba aż na „Chmielną”). Wrócił tylko jeden, ale przytargał dwa duże pojemniki wody. Pamiętam, że tego samego dnia przyszli do piwnicy powstańcy. Przynieśli dużo chleba, grochu, śledzi, marmolady i makaronu. Oprócz tego przynieśli wodę, kilka karbidówek, dwa worki karbidu i dużo świec. Elektryczności już nie było. Kiedy człowiek, który przyniósł wodę z Chmielnej, powiedział powstańcom, skąd ją przyniósł, któryś z nich wyskoczył z piwnicy, przyniósł kilofy i łopaty. Miał w rękę mapę czy plan. Powstańcy zrobili jakiś rysunek i według tego rysunku zaczęli wybijać dziurę w ścianie piwnicy. Przekopali się do piwnicy w następnym domu, która była pusta. Gruz z dziury, którą wybili, wynieśliśmy wszyscy do naszej bramy, bo z naszego domu został tylko parter, a wkoło były tylko gruzy. Z pustej piwnicy zaczęli wybijać następną dziurę. Łaziłem z którymś z kolegów za nimi, bo byliśmy mali i łatwo było nam za nimi się przeciskać. Pozostali wraz z mieszkańcami przebijali te dziury z jednego domu do drugiego, chyba całą noc. W którejś piwnicy zastaliśmy takich samych ludzi jak my. Wieczorem następnego dnia dziurą w piwnicy (naszej) przedostał się znajomy powstaniec (chyba „Sokolik”), powiedział, że doszli już do kranu na Chmielnej. Wyznaczył mnie i tego, z którym doszliśmy do piwnicy, gdzie byli ludzie, na nosicieli wody. Miało to polegać na tym, że my dojdziemy do tej piwnicy, a stamtąd inny dzieciak prowadził nas tunelem do innej piwnicy, a jeszcze z tamtej piwnicy pokaże nam drogę do kranu. Tak postępowaliśmy do kapitulacji. Z początku myśmy nie dochodzili do kranu, tylko zostawialiśmy

pojemniki na wodę w ostatniej piwnicy i z niej zabieraliśmy już pełne wody, którą przynosili chłopaki z tamtej piwnicy. Ale pewnego razu ktoś ukradł nasze dwa pojemniki z wodą. Starsi postarali się o dwa następne (brama była już odgruzowana i było wyjście na ulicę) i już do końca w wyznaczonych godzinach sami chodziliśmy po wodę do kranu na ul. Chmielną. Tu dygresja: w 1974 roku poszedłem do braci Antosików, którzy prowadzili Zakład Naprawy Liczników Samochodowych. Wyszedłem na Chmielną i coś zaczęło mi się kojarzyć. Wszedłem na podwórko do sąsiedniej bramy i w ścianie zobaczyłem kran, z którego, jak mi się wydaje, brałem wodę w czasie Powstania. Nie pasował mi tylko mur, który teraz był po lewej stronie kranu. Wtedy go tam nie było.

Gdy wróciłem do warsztatu, spytałem jednego z braci, kiedy ten mur został postawiony. Dlaczego pan pyta? Dlatego, że jestem pewny co do tego, że tego muru w Powstanie nie było. Chodź pan do tego kranu – powiedział. Zostawili obaj robotę i poszliśmy. Powiedziałem, co mi się przypomniało. Pokazali mi, którądy wychodziłem po wodę, i stwierdzili, że mur został dobudowany w latach pięćdziesiątych. Po powrocie do warsztatu dziadkowie się rozczulili, wypiliśmy po kielichu, a nawet po dwa. Robotę wykonali i za Boga nie chcieli wziąć forsę za tę robotę. Okazało się, że całe Powstanie przesiedzieli na zmianę w ostatniej piwnicy, która była punktem kontaktowym jakiegoś ich zgrupowania. Mieszkali w tym domu co warsztat od urodzenia. Zнали teren jak nikt. Nie mogliśmy się rozpoznać, bo minęło od tego czasu 30 lat. Ja miałem wówczas około 8 lat, a oni około 40. W czasie rozmowy zaczęliśmy kojarzyć pewne zdarzenia. Na przykład powiedzieli, że dzieciaków, w tym na pewno również mnie, rozsyłali w rejon Chmielnej, Waliców, Żelaznej, Złotej, Miedzianej, Grzybowskiej, Prostej, Twardej, Ogrodowej, nawet do Towarowej. Dzieciaki te roznosiły różne meldunki, a czasem nawet i amunicję. Przypomnieli sobie, że kiedyś dzieciaki przyciągnęły zabitego konia (nie pamiętali już skąd), którego po rozebraniu na podwórku, gdzie był kran, roznosiliśmy po piwnicach. Z wyjątkiem dnia, w którym chodziliśmy po wodę, a trwało to około 3 godzin, cały czas buszowaliśmy w gruzach sąsiednich ulic. Znajdowaliśmy różne rzeczy, czasami nawet coś do zjedzenia. Trafiliśmy również na jakiś oddział powstańców, gdzie się trochę pożywił. Pamiętam, a było to gdzieś w środku Powstania, że łażąc po gruzach i wypalonych domach (chyba na Prostej), na jednym z podwórek zobaczyliśmy kuchnię polową i kręcących się przy niej ludzi. Byliśmy pewni, że to nasi. We trzech podeszliśmy do nich. Okazało się, że to Niemcy, zauważyli nas i przywołali, ale po polsku. Zgłupieliśmy, uciekać już nie było jak. Jeden z nich wziął „durszlak” i zaprowadził nas do pokoju na parterze domu. Tam zastaliśmy starszego Niemca, ten kazał nam usiąść, a tego co nas przyprowadził gdzieś wysłał. Dał nam po kawałku czekolady i sam wyszedł zamykając drzwi. Nie było jak zwiać, bo okna były zakratowane, był to chyba kiedyś jakiś magazyn. Po pewnym czasie wszedł Niemiec, ten który nas przyprowadził, a za nim drugi, który przyniósł ze cztery spore menażki, trzy cynowe miski i trzy widelco-łyżki. Z jednej z menażek wlał nam do misek tłustej zupy z mięsem i kazał jeść. Popatrzyliśmy na siebie, ale zupę zjedliśmy. Gdy to zobaczył, to z innych menażek nakładł nam do misek kupę kartofli (prawie całe powstanie kartofli nie jedliśmy), kapustę i olbrzymie serdelki. Niemiec zabrał menażki, miski, ale łyżko-widelce zostawił. Wszedł nie zamykając drzwi, po kilku minutach wrócił, położył na stole trzy wielkie bochenki chleba i trzy drewniane spore skrzynki. Poszedł sobie nie zamykając drzwi. Siedzieliśmy jak zamurowani. Nagle usłyszeliśmy strzelaninę. Trwało to dosyć krótko, potem nastąpiła cisza. Słychać było tylko ryk szaf (krów) i wybuchy, ale z dalszej odległości. W końcu zdecydowałem się wyjrzeć na podwórko, ani Niemców, ani kuchni już nie było. Wróciłem po chłopaków, zabraliśmy to, co zostawił Niemiec, i chodu. Wychodząc zauważyłem tuż przy wyjściu dużą platformę przykrytą plandeką. Wróciliśmy do naszej piwnicy targając wszystko ze sobą. Po rozpakowaniu skrzynek, które zostawił Niemiec, okazało się, że była w nich owinięta w pergamin czerwona marmolada. Powiedzieliśmy starszym o tej przykrytej plandeką platformie. Tego samego jeszcze dnia znów tam poszliśmy, do tej platformy. Poszedł z nami jakiś mały starszy facet, który podobno był saperem w 1939 roku Schowaliśmy się w tym pokoju, co nas Niemcy zamknęli, a on poszedł do tej platformy. Po jakimś czasie nas zawołał. Plandeka była zdjęta, a na platformie leżało od groma główek kapusty, a w skrzynkach marchew, cebula, pietruszka i inne warzywa. Było też kilka worków kartofli, worek soli, ze dwa worki cukru i kilka paczek sacharyny. Nosiliśmy to prawie przez całą noc do naszej piwnicy. Wszystko zostało podzielone równo. W części, która przypadła na moją matkę (chyba w sacharynie), był karton papierosów, pamiętam to, bo później nimi handlowałem z mieszkańcami innych piwnic.

Z chłopakami cały czas ganialiśmy. Pewnego dnia trafiliśmy na rozwalony budynek, chyba przy Grzybowskiej, była to hurtownia. Znaleźliśmy tam pełno różnych rzeczy, były tam książki, zeszyty, wieczne pióra, cała masa zabawek. Znosiliśmy to do naszej piwnicy. Znaleźliśmy tam również piękne duże konie na biegunach. Wzięliśmy ich kilka, ale lokatorzy piwnicy kazali nam je wyrzucić, bo zajmowały za dużo miejsca. Znaleźliśmy tam również takie zabawki jak na przykład: pistolety i karabiny na wodę. Uzbrowiliśmy się w nie i udawaliśmy powstańców. Pewnego dnia tak uzbrojeni trafiliśmy na zgrupowanie powstańców, którzy mieli kilku niemieckich jeńców. Dowódca zgrupowania kazał dać nam jeść i z całą powagą oświadczył, że będziemy pilnować tych jeńców, ale nie było co pilnować, bo jeńcy nigdzie się nie rozłazili. Wykonywali różne prace, a głównie to kopali groby, bo codziennie trzeba

było kogoś chować. Byliśmy tam ze dwa dni, bo powiedzieliśmy, że matki wiedzą, gdzie jesteśmy, skłamałiśmy, było nam tam dobrze. Podobno matki nas szukały. Na trzeci dzień były pogrzeby, chyba było tych pogrzebów z dziesięć. Chowano jakichś znajomych naszych matek, bo na te pogrzeby przyszły. Zauważyliśmy je podczas mszy, która odbywała się w bramie. Była tam kapliczka Matki Boskiej i był ksiądz, który tę mszę odprawiał. Zmarli leżeli na wielkiej płachcie (plandeka). W pamięci utkwiła mi kobieta, która miała urwaną jedną nogę, a przy niej leżał mały chłopczyk zupełnie bez nóg. Było to gdzieś blisko jakiegoś szpitala RGO, bo tam zwialiśmy przed matkami. Zapamiętałem szpitalne łóżka i pielęgniarki. Musiało być jakieś porozumienie między powstańcami i Niemcami, bo w czasie pogrzebu nikt nie strzelał, a pozycje Niemców były bardzo blisko, widzieliśmy je z okien szpitala. Ja z kolegą zaczęliśmy mierzyć do nich z tych zabawek. W pewnym momencie na szpital posypał się grad kul. Przyłapała nas na tym mierzeniu taka duża pielęgniarka. Nie wiem, jak wyjaśniła sprawę z Niemcami, bo przestali strzelać do szpitala, a nam solidnie wlała. Skądś wzięła sprężynę ze szpitalnego łóżka i tego nam dołożyła, ale później dała nam jeść (jakieś duże placki ze słodkim czerwonym sokiem). Zaprowadziła nas do dowódcy powstańców i kazała mu nas przepędzić. I tak się stało. Przepędził nas, ale karabinów nie zabrał. Wróciliśmy do naszej piwnicy i każdy na dodatek dostał po równo baty od matek. Skończyło się łażenie. Chodziliśmy tylko po wodę, aż do kapitulacji.

Kapitulacja i Pruszków

W jakiś dzień przed wyjściem do Pruszkowa, zjawił się mój brat. Był w cywilnych ciuchach, obandażowany i zmizerowany. Nie pamiętam, ile czasu szliśmy do Pruszkowa, matka, brat, ja, ciotka i matka ciotki. Pilnowali nas Ukraińcy z psami. Ludzie padali po drodze, byli bici i okradani przez konwojentów. W czasie drogi do Pruszkowa zapadła się gdzieś ciotka, jak się później wyjaśniło, była w Pruszkowie, a stamtąd jakoś trafiła do Rawensbriick, gdzie nawet spotkała się z moją drugą ciotką – siostrą matki Natalią Nałęcz. Obie obóz przeżyły. W Pruszkowie rozmieścili nas w ogromnej hali. Brat ledwo się ruszał, znalazł się lekarz, który próbował go ratować, co mu się częściowo udało (szukałem go po wojnie w latach 1956-1957, pamiętam bowiem nazwisko, nazywał się Skiba, ale bezskutecznie). Matka opiekowała się bratem, a ja starałem się o jedzenie.

Przyjeżdżały duże wozy z pościartowanym chlebem i pojemniki z gorącą czarną kawą. Trochę chleba dostałem, ale więcej kradłem z wozu. Nieraz nakradłem tyle, że matka oddawała chleb innym. Z chłopakami z Powstania spotkaliśmy się na trzeci dzień. Znów buszowaliśmy po obozie, spotykaliśmy znajomych, trochę kombinowaliśmy żarcie. Zapamiętałem taki fakt, że w związku z chorobą brata matka kazała postarać się o jakieś leki i bandaże. Udało nam się wejść do samochodu z Czerwonym Krzyżem i praktycznie go ogołociliśmy. Gdyśmy ten towar przynieśli do hali, lekarz, który opiekował się bratem (zresztą nie tylko nim), bardzo się ucieszył.

Wysiedlenie

Pobyt w Pruszkowie nie trwał długo. Nastąpiła jakaś selekcja i z chłopakami się zgubiłem. Mnie matka „pożyczyła” jakiejś kobiecie (z dziećmi nie brali na roboty). W tym zamieszaniu zgubiłem się z matką i bratem. Ja z tą kobietą zostaliśmy wsadzeni do jakiegoś wagonu i długo gdzieś jechaliśmy. Bodajże z tydzień staliśmy pod Oświęcimiem. Później ten wagon gdzieś ruszył. Zatrzymaliśmy się w miejscowości Końskie, już nie pamiętam, czy furmanką czy na piechotę, dostaliśmy się do Wielkiej czy też Starej Wsi. Tam dostaliśmy taką starą chałupę, która stała pod lasem. Mieszkał w niej już starszy człowiek, też wysiedleńca z Warszawy o nazwisku Ozga, z córką. Po jakimś czasie wraz z córką zniknął. Zostaliśmy sami, ja z tą kobietą. Pamiętam przeraźliwe zimno, głód i wszy. Chodziłem gdzieś z tą kobietą do kopania rowów. Trochę pomagali nam chłopcy, ale niewiele, bo sami też byli biedni. Czasami wpadali partyzanci i coś niecoś przynosili. Niedaleko naszej chałupy mieszkał dziedzic, ale też nie najbogatszy. Nieraz po powrocie z kopania rowów zachodziłem do niego i czasem coś do jedzenia dostałem. Z tego okresu zapamiętałem niektóre zdarzenia. Co kilka dni zachodził do nas Niemiec (może policjant?). Nieraz przychodziło ich dwóch, pamiętam jak patykiem ściągali mi czapkę z głowy i pokazywał drugiemu, ile to ja mam wszy. Utkwiło mi również w pamięci pewne zdarzenie. Kiedyś z tą kobietą wybraliśmy się dość daleko do młyna. Chodziło prawdopodobnie o odbiór kwitów na przydział mąki. Utkwiło mi to w pamięci dlatego, że człowiek wypisujący kwity nie miał obu dłoni i pisał, trzymając w obu kikutach pióro.

Pewnego razu miało miejsce następujące zdarzenie. Byłem sam w domu. Kobieta, z którą mieszkałem (nazywałem ją ciocia), przed wyjściem z chałupy rozcyniła w dzieży chleb – wiedziałem, że chleba nie wolno było piec – i rozczytn ten schowała pod łóżko. Z łóżka opuściła przykrycie (takie w kolorowe paski), tak że dzieży tej nie było widać. Jak zaznaczyłem chałupa była pod lasem i czasami

przychodzili partyzanci. Było bardzo zimno. Gdzieś około południa przyszło trzech czy czterech partyzantów, któryś z nich poszedł do dziedzica, pozostali poszli narąbać drewna. Na łóżku zostawili broń i plecak, ja wyszedłem przed chałupę. Zauważyłem, że w stronę naszej chałupy jedzie bryczka. Zatrzymała się i jeden z jadących gdzieś poszedł, a dwaj piechotą szli w stronę mojej chałupy. Byli to gestapowcy, bo mieli wysokie czapki i nauszniki. Schowałem się do domu i obserwowałem ich przez okno. Patrzą a oni idą do mojej chałupy. Nie wiele myśląc, przykrycie, które zakrywało dzieżę, zarzuciłem na łóżko przykrywając to co zostawili partyzanci, odsłaniając tym samym dzieżę z rozczynem. Gdy weszli od razu zwrócili uwagę na tę dzieżę. Kazali mi ją wyciągnąć spod łóżka. Jeden z nich kopnął ją (ale nawet niewiele się z niej wylało). Łamaną polszczyzną kazali przekazać matce (myśleli, że jestem z matką), by po powrocie zameldowała się na posterunku. Nie pamiętam, gdzie był ten posterunek, a oni sobie poszli. Po pewnym czasie z porąbanym drewnem przyszli partyzanci, nawet nie wiedzieli, że byli Niemcy. Zdziwili się tylko co się stało z ciastem, gdy im opowiedziałem, jak było, zdębieli. Uściskali mnie, zostawili kartkę, bym ją oddał tym czy temu, co byli u dziedzica, rozpalili mi ogień i zaraz poszli. Gdy wrócili ci od dziedzica i przeczytali kartkę (nie pamiętam czy był jeden czy dwóch) dali mi pęto kielbasy i zaraz wyszli. Po przyjściu ciotki opowiedziałem jej o całym zdarzeniu. Pamiętam, że na posterunek poszła, wróciła dopiero na drugi dzień. Przetrzytywali ją w piwnicy, nie jej nie zrobili i wypuścili.

Kilka dni później przyszedł do nas chłop, przyniósł nam sporo dobrego jedzenia, zresztą do wyzwolenia zawsze coś przynosił. Przystałem latać dożywiać się do dziedzica. Doszło do tego, że przyszła do nas gospodyni dziedzica, zaniepokojona tym, że tam się nie pokazuje. Nawet coś u nas zjadła, bo pamiętam jak powiedziała, że takich dobrych rzeczy to nawet u dziedzica się nie jada, ale kazała mi przychodzić. Zacząłem tam chodzić znowu, bo bardzo mi smakowały pieczone kartofle i zmieszany gotowany groch z kapustą. Partyzanci dalej przychodzili, ale byli bardziej ostrożni, zawsze jeden stał na czatach.

Którejś nocy obudził mnie straszny hałas i światło, było widno jak w dzień. Tej „ciotki” już nie było i do tej pory nie wiem, co się z nią stało. Znalazłem tylko na stole kartkę, ale nie wiedziałem, co na niej było napisane, gdyż nie umiałem czytać. Ubrałem się, kartkę schowałem i wyszedłem przed chałupę. Z daleka widziałem czołgi, samochody, wózki, sanie ciągnięte przez małe koniki a nawet psy.

Wyzwolenie

I tu następuje jakaś luka w pamięci. Ostatnie co pamiętam to to, że znalazłem się gdzieś w sierocińcu, a następnie – co już dobrze pamiętam – w Domu Dziecka w Gołdoczyźnie (koło Ciechanowa), gdzie chodziłem do drugiej klasy. Gdzie chodziłem do pierwszej klasy do dziś nie mam pojęcia. Z kartki, którą zostawiła mi ta „ciotka”, dowiedziałem się, jak się nazywam, jak na imię miała matka, gdzie i kiedy się urodziłem. Zresztą z tego Domu Dziecka w kilku uciekliśmy (koledzy żyją dotychczas i się spotykamy). Złapali nas po kilku dniach. Przeprowadziliśmy się promem przez Wisłę gdzieś w okolicy Płocka (koło Borowiczek), wszyscy byliśmy jednakowo ubrani (ciuchy z UNRY, getry, buty, kurtki, czapki). Na promie znajdował się milicjant, zwrócił na nas uwagę z dwóch powodów: nie mieliśmy forsy na prom, no i byliśmy jednakowo ubrani. Po zatrzymaniu przewieziono nas do Pałacu Mostowskich, a następnie do więzienia na Rakowiecką. Działy się tam różne rzeczy, nie chcieliśmy się przyznać, skąd jesteśmy, mówiliśmy, że jesteśmy zuchami, którzy zgubili się na wycieczce, bo był to okres wakacji. Wreszcie na którymś z przesłuchań pękł Jankowski „Gałus” i wszystko powiedział. Zresztą jeden z milicjantów rozpoznał Grześka Ulmera i sprawa się rypla. Jako ciekawostkę mogę podać tutaj fakt, że na Rakowieckiej trzymano nas z więźniami z bardzo dużymi wyrokami, łącznie z dożywociem. My jako dzieciaki sporo tam rozrabialiśmy z nudów. Żeby nas uspokoić jeden ze strażników mnie, Grześka i Cześka Ryłskiego zaprowadził do karceru i pokazał człowieka, który stał po kolana w wodzie nie mogąc się nawet wyprostować. Zagroził, że jak nie przestaniemy rozrabiać, to nas do tego karceru wsadzi.

Po wydaniu się wszystkich spraw, ciupasem odstawiono nas pod eskortą do Gołdoczyzny, któryś z chłopaków (było nas sześciu) spał na półce w przedziale pociągu i obsikał przez sen eskortującego nas żołnierza. Mówią, że to ja, ale to nieprawda.

W Domu Dziecka w Gołdoczyźnie ostro nas ukarano (obieranie kartofli w karcerze, zakaz wychodzenia na boisko i gorsze jedzenie). Jak się później okazało, kierownikiem Domu Dziecka był gestapowiec z Miechowa, nazywał się Franciszek Józef. Zaraz po wakacjach wysłano nas do Domu Dziecka na Kowaniec pod Nowym Targiem, gdzie przebywałem do 1955 roku. Uczyłem się tam i uprawiałem sport. Po wyjściu z Domu Dziecka poszedłem do Szkoły Oficerskiej w Oleśnicy, ale szkołę tę rozwiązano w 1956 roku. Znalazłem brata, który był ciężko chory, umieściłem go w szpitalu w Ustroniu Śląskim, a sam poszedłem do pracy w kopalni, najpierw w „Nowym Wirku” w Świętochowicach, a następnie w „Thorezie” w Wałbrzychu. Trochę pracowałem pod ziemią, więcej boksowałem. Odbylem służbę

wojskową. Po śmierci brata rozpocząłem normalne życie. Pracowałem, ukończyłem szkołę średnią, a następnie studia na Politechnice Świętokrzyskiej w Wyższej Szkole Inżynierskiej.